

Prawosławny krzyżyk

– A co to za nowa moda, ha? – ofuknęła mnie matka. – Ja rychtuję, gotuję, a ten sobie nosem kręci.

Istotnie, zalewajki było po wręby talerza, a ja już odłożyłem łyżkę. Matka w czasie wojny należała do gospodyń przesadnie oszczędnych: lepiej chorować, jak się ma zmarnować. Zlewków kury nie zjedzą, a ostatniego kabanka zabrali nam Niemcy na kontyngent; żal było każdej łyżki zmarnowanej strawy. Milczałem nad talerzem, oganiając się od much.

– Może powiesz wreszcie, na coś się tak zaoskomił? Chyba nie na marcepany z kocim łojem? – zażartowała.

– Na pierogi! – odpaliłem przekornie.

– Ba, sama bym skosztowała. Nawet mam jeszcze w komorze schowany garniec pszennej mąki, parę jajek jest... Nu, ale z czym je ulepić? Fasola jeszcze zielona, mak biały...

– A choćby z wiśni.

– Ba, a skądże wisznie wziąć?

Mieliśmy ładne wiśnie w sadku koło domu, ale Niemcy kazali wyrąbać, bo im akurat zastaniały wgląd na drogę.

– A jakby tak w Krasnychgórach? – zaryzykowałem.

– Matko święta! – wykrzyknęła moja rodzicielka. – W Krasnychgórach? Straszno!

– W dzień straszno, co wy?

– Hm – zastanawiała się. Wypszczychawszy się, rzekła nie bez oporu: – Nu, poprobuj, jak chcesz, ale uważaj!

W Krasnychgórach była gajówka, a przy niej pasieka i ładny wiśniowy sad. W czterdziestym pierwszym gajowego wywieźli, pasiekę ludzie rozgrabili – sad pozostał. W chacie gajowego, ślepej, bez okien, wybebeszonej w środku do pustych ścian, do gołej deski, zagnieździły się sowy płomykówki i nietoperze; koło chlewika lis wykopał sobie jamę. Ale wiśnie rodziły co roku piękny owoc, z którego najczęściej korzystały szpaki.

Wziąłem więc poręczny koszyczek pleciony z korzeni jałowca i poszedłem w Krasnegóry. Najbliżej mi było iść koło starego rosyjskiego fortu, potem dolinką obok półwyschniętej studni, jeszcze z I wojny światowej, i już człowiek w ciągu pół godziny był na miejscu.

Szedłem miedzami pośród zbóż, omijając rżyska, których zresztą było niewiele; ludzie do koszenia tapali sposobny czas, w obawie przed napadami bulbowców, którzy podchodzili tu aż z Zalasków, Kwasitowa Ruskiego albo nawet i z Białej Krynicy. Żniwiarze

zabierali ze sobą siekiery, widły, trafiały się także karabinki z obciętymi lufami i sowieckie nagany. W tych stronach zdobycie chleba często przyplącało się życiem.

Stoneczko było już popołudniowe, ale grzało ostro. W krzemionym jarze u podnóża Krasnychgór spłoszyłem rudego lisa, który wygrzewał się jak pies; zerknął na mnie i podyndał w przestale żyto. W jarze, który musiałem przejść wzdłuż, było duszno: mąciło się w głowie od zapachu rozkwieconych dzikich róż i dojrzałych poziomek, zwarte ich kolonie oblepiały trawiaste zbocza. Zacząłem smykać cudownie smaczne jagódki, płosząc jaszczurki. Polne koniki trzaskały mi o nogawki spodni jak ziarenka prochu sypane na rozgrzaną blachę. Po przejściu jaru zacząłem się wspinać wijącą się ścieżką wyżej, do polanki, na której była gajówka. W leszczynowym gąszczu wywodziły swoje słodkie trele drozdy i kosy, a na klonach i dębach gruchały dzikie gołębie, stukały dzięcioły. Sroka na olsze zaczęła skrzeczeć na mój widok; zakląłem, bo sroka w lesie tak jak pies na podwórzu, zawsze uprzedza, że ktoś idzie.

Trochę się zasapałem, idąc zakosami pod górę, może dlatego zatraciłem poczucie niezbędnej w lesie ostrożności. Przed gajówką capnęli mnie...

Czytałem w książkach, że ludzie przed egzekucją płaczą, błagają o życie albo się modlą, albo kamienieją ze strachu. Ja należałem do tych ostatnich. Pewnie tak czuje się albo raczej wygląda żaba zahipnotyzowana przez węża. Kiedy nieco ocknąłem się po strasznym szoku, stwierdziłem, że jestem spętany jak koń; ręce mi wykręcili do tyłu i też związali konopnym końskim pętem. Musiała to być jakaś banda wracająca z nocnej wyprawy na polską kolonię; siedzieli na trawie obok wypchanych worków i tłumoków, jedli z czapek wiśnie, a pestki spluwali w moją stronę. Dochodziły do mnie strzępy rozmowy; domyślałem się, że radzą nad moim losem.

Położyli mnie związanego twarzą do ziemi, ciężko się oddychało, więc korzystając, że są mocno zaabsorbowani rozmową, przekręciłem się na bok; coś mnie załaskotało na piersi i przesunęło się pod pachę, jak strużka potu. Miałem na szyi srebrny krzyżyk zawieszony na łańcuszku z amerykańskiego złota. Z tym małym krzyżykiem związane jest bardzo ważne wydarzenie...

Przed wojną kochała się we mnie diakówna, czyli córka prawosławnego organisty albo po ichniemu: psalmisty. Szesnastoletnia dziewczyna – ruda jak wiewiórka, o delikatnej cerze z lekkimi piegami, twarzy dość pospolitej, lecz pięknych oczach – zadurzyła się we mnie porywem pierwszej miłości. Jej oczy urzekały mnie, a może nawet zauroczyły – oczy wielkie, zielone z długimi rzęsami, które łaskotały wargi, gdy człowiek chciał pocałować. I sama dziewczyna też była jeszcze „zielona”, do kawalerskich flirtów za młoda dla mnie. Zresztą w naszej kolonii było sporo ładnych dziewcząt, dojrzalszych i chętnych.

Lubiłem jej głos, niski, melodyjny. Przesiadywałem u niej w altance ogrodowej do późnego wieczoru. Starszy pan Tarnawski – ojciec Katii – przynosił nam w glinianej misie plaster miodu i życzył smacznego. A Katia śpiewała tęsknie:

Tecze riczka newełyczka

z wiszniowoho sadu.

Kłycze kozak diwczynońku

sobi na poradu.

Hej hej, hej haj!

Zefenyj haaaaj...

Żał mi było tej dobrej, uczuciowej dziewczyny, że durzy się we mnie bez wzajemności, nie chciałem jej tego powiedzieć, bo tak mi było wygodnie, a przy tym obawiałem się, że pod wpływem egzaltacji mogłaby sobie coś zrobić. I ona też mi o miłości nic nie mówiła, ale wystarczyło spojrzeć na jej twarz, zajrzeć w jej oczy, gdy odchodziłem.

Starszy pan Tarnawski, który swe obowiązki cerkiewnego psalmisty odstąpił synowi, miał dużo czasu i lubił przesiadywać z nami. Wtedy na stole w altance zjawiał się mruzcący samowar, nakrycie do herbaty, kostki cukru w srebrnym koszyczku i pierniki miodowe, które wypiekała synowa, bo żonę pan Tarnawski już dawno pochował. Siedzieliśmy we troje i gawędziliśmy do późna, początkowo wśród rozgwaru pszczoł, potem przy cichutkiej muzyce komarów i pohukiwaniu sów na cerkiewnej wieży. W zależności od pory roku czuło się zapach ziół lub kwiatów; dla mnie najprzyjemniejszy był cierpki zapach chmielu.

Czasem przysiadł się do nas brat Katii – dorodny mężczyzna z czarnymi brwiami zrosniętymi u nasady nosa, co nadawało mu trochę posępny wyraz.

Tarnawski junior ożenił się z piękną córką miejscowego popa, małżeństwo było bardzo szczęśliwe do urodzenia się pierwszego dziecka; Katia wyznała mi kiedyś w zaufaniu, że bratowa strasznie cierpi, ma bowiem niedorozwinięte sutki i nie może karmić niemowlaka piersią. Musi więc ściągać mleko, wskutek czego nabawiła się nerwicy, pokarm gorzkniej i szkodzi dziecku. Rzadko dotrzymywała nam towarzystwa, a jeśli już przysiadła się na chwilę, to wyczuwało się, że tylko z grzeczności; milczała pogrążona we własnych, niewesołych myślach.

Stary pan Tarnawski natomiast lubił gawędzić.

– Pan pewno nie wie – zaczął kiedyś rozmowę w księżycowy wieczór przy samowarze – że my pochodzimy z Polaków. Ze szlachty podolskiej. Nasze dziady-pradziady mieli duże majątki na Podolu, ale wie pan z historii: Tatarzy i różna harańdzia paliły, brały w jasyr, trzeba było wykupu i tak nas skubano pomaleńku. Potem nadszedł rok sześćdziesiąty trzeci, szykowano powstanie na Podolu, miał przyjść na pomoc jakiś Legion Polski z Turcji, pod dowództwem Zygmunta Miłkowskiego i nawet doszedł do Prutu, ale Rumuni nie puścili dalej. Wywiązała się bitwa, naszych było mało, więc ulegli — i tych Rumuni wydali Moskalom. A potem car przykręcił mocno śrubę i zaprowadził nowe wpisy do „dworiańskich knig”. Pan pewno nie wie, co to jest? To księgi stanu szlacheckiego. Za wpis trzeba było wpłacić sto rubli w złocie. Kto nie miał, przechodził do stanu włościańskiego i musiał chodzić do cerkwi, a jak się sprzeciwił, kozacy gnali nahajkami. Nasze dziady nie mieli stu rubli na wpis, no i jest to, co jest...

– Ba! ko! – wtrącił się młody Tarnawski. – Co było, to się dawno zmyło. Kogo to teraz obchodzi?

Młody Tarnawski w kwietniu dwudziestego roku szedł na Kijów z Drugą Dywizją Strzelców Siczowych pod dowództwem głównego atamana Semena Petlury. Wspomnienia

bujnej młodości pozostały mu na całe życie; przesadnie akcentował swój nacjonalizm. Nawet zewnętrzne ściany cerkwi pomalowane były w żółto-niebieskie barwy. W izbie wisiał w dębowej ramce portret atamana – w zielonym mundurze z „trójzubem” na patce kołnierza w obramowaniu złotych laurowych liści. Przypuszczałem, że młody Tarnawski toleruje mnie tylko ze względu na siostrę, którą bardzo kochał.

W lipcu trzydziestego dziewiątego roku sołtys przyniósł mi „czarną” kartę powołania, a to znaczyło: „natychmiast!”. Spakowałem się więc do drogi, pożegnałem z rodziną i sąsiadami i poszedłem. Myślałem, że trafi się jakaś furmanka, ale droga była pusta, zmierzch już zapadał, tylko skowronki jeszcze dzwoniły pod niebem, a w zbożach zwoływały się przepiórki. W środku drogi, przy dużym wyrobisku po glinie, gdzie Sejmik Powiatowy polecił założyć szkółkę topoli dla obsadzania dróg w gminie – stała Katia Tarnawska. Byłem tym mile zaskoczony; tyle dziewczyn szczyrzyło do mnie zęby, ale żadna nie wyszła, żeby się ze mną pożegnać.

Niewiele słów było między nami; uściśnięłem rękę i musnąłem wargami jej drżące usta. Obawiałem się, że dziewczyna zacznie płakać, a ja mam taką naturę, że płacz kobiet wyprowadza mnie z równowagi, czuję się głupio, nie wiem, co mam robić. Energicznie więc skręciłem w swoją stronę, ale Katia błyskawicznie przytrzymała mnie za łokieć.

– Miły mój – jęknęła. – Jeszcze troszeńki...

– Katia, ja muszę! – może powiedziałem to zbyt opryskliwie, bo oczy dziewczyny zaszkliły się łzami. Pomyślałem ze złością:

No, tego jeszcze brakowało. Akurat znalazła czas na sentymenty.

– Ja tobie przyniesiła mój krzestny krzyż – zaczęła łamiącym się głosem. Będę się co dzień modliła. On ciebie uchroni od kuli. – Rozpięta mi kołnierzyk koszuli i zawiesiła krzyż na szyi.

W domu zostawiłem srebrny medalik z Matką Boską Ostrobramską, bo nigdy go nie nosiłem, chyba jako dziecko. A teraz ten krzyż, z poleceniem, że mam go stale nosić.

– Pamiętaj, miły, nigdy go nie zdejmuj, póki się wojna nie skończy.

W odpowiedzi przycisnąłem ją do piersi i zacząłem całować tym razem gorąco i szczerze: w rozpalone usta i w te wielkie zielone oczy przystońnięte łaskoczącymi rzęsami.

– Ja ciebie ljuubie, straszennie – głos jej obniżył się o oktawę. – Nikogo tak nie lubiła i nie będę lubieć. Pamiętaj miły! Wracaj zdrowy z tej wojny! – odwróciła się i pędem pobiegła w stronę wsi. A ja nie oglądając się, trochę nawet zły – wydało mi się, że straciłem dużo czasu – ruszyłem długim krokiem przed siebie.

W Równem na takich bohaterów jak ja czekał już zarekwirowany autobus żydowski, kursujący między Równem a Łuckiem. Bilet kosztował pięć złotych – taniej niż pociągami – ale ja tym razem miałem prawo za darmo, bo z kartą powołania. Któryś z chłopaków wziął ze sobą na wojnę akordeon, więc jechaliśmy z muzyką i śpiewem. Ponieważ większość miała skierowanie do lotnictwa, śpiewaliśmy zatem aż do ochrypnięcia piękny marsz lotników:

A jeśli z nas

ktoś legnie wśród szaleńczych jazd,

czerwieńszy będzie kwadrat –
nasz lotniczy znak.

Znów pełny gaz,
bo cóż, że padła któraś z gwiazd,
gdy cała wnet eskadra pomknie na szlak!

Byłem kapralem-pilotem. Myślałem, że w Łucku wsadzą mnie na myśliwską „pezetelkę”, a tymczasem wielkie rozczarowanie: myśliwców brakowało nawet dla pilotów zawodowych. I tak miałem szczęście, że dostałem łącznikowy samolot RWD-8. Maszyna była wystuzona, silnik charczał, krztusił się, ale jakoś ciągnął. Inni, może nawet i lepsi ode mnie, pełnili służbę wartowniczą na łuckim lotnisku.

Krzyżyk Katii nosiłem na szyi obok aluminiowego znaczka rozpoznawczego z moim imieniem i nazwiskiem oraz wyznaniem: „R. Kat.”, datą urodzenia i numerem ewidencyjnym. Nawet byłem kontent, bo każdy z kolegów coś miał: szkaplerz, krzyżyk, medalik. A więc nie będę się wyróżniać w żołnierskiej rodzinie.

Jak zaczęła się wojna, latałem do Brześcia, potem utrzymywałem łączność z Baranowiczami, gdzie Niemcy już w pierwszych dniach rozwalili naszą radiostację. Zawsze latałem zgodnie z rozkazem, nisko, najczęściej nad lasami, żeby „zlewać się” z terenem. Wysoko latali Niemcy. Widywałem całe eskadry bombowców. Kiedyś skorciło mnie, żeby spróbować się z jakimś szkopem, byłem przecież szkolony na myśliwca. Ubolewałem, że „wojna się skończy, a ja ani razu nie wystrzelę”. Wkrótce nadarzyła się sposobność. Leciał, sukinsyn, na jednym silniku — drugi jakby dymił, śmigło zwiślało. Myślę sobie: „Podskoczę i dołożę mu!”. Dodałem gazu i zaszedłem z góry, trochę z boku: rąbnąłem z kaemu, ale ten tylko zaczął pykać pojedynczo i zaraz zaciął się na amen. Pech! Koledzy mówili później, że wszystkie „erwudziaki” mają kaemy do lotu, a wmontowano je do kabin tylko dla lepszego samopoczucia pilotów.

Gorszego pecha miałem w czasie ostatniego lotu do Baranowicz; zestrzelili mnie nasi niedaleko lotniska, nad jakimś dworskim polem. Silnik zakrztusił się, zacharczał i stanął. Pomyślałem: „Bieda będzie z lądowaniem”. Ale jakoś psim śwędem udało mi się wyrównać maszynę i usiadłem na kartoflisku, wzdłuż bruzd, dzięki czemu uniknąłem kapotażu. Kadłub był zwichrowany, ogon rozbity, skrzydła niesterowne. Trochę się potłukłem, z nosa ciekła mi krew, ale byłem żywy. Zanim się wypłatałem z kabiny, nadbiegła ta cholerna piechota, najeżona bagnetami, gotowa już brać mnie na widelec jak szkopa. Zanim zdążyli mi dać po mordzie, wrzasnąłem:

– Kogoście zestrzelili, skurwysyny!?

Jak przekonali się, że jestem Polakiem, widać było, że jest im bardzo głupio, a jeden z „zajców” to nawet zaczął ptakać.

Już więcej nie latałem, bo i nie było na czym. Rozeszła się pogłoska, że personel lotniczy będzie ewakuowany do Rumunii; tam mają nadejść dla nas samoloty z Anglii. Wahałem się: „jechać – czy zostać?”. Zwlekałem, nikt na siłę nie zmuszał. Zostałem. Zanim jednak wróciłem do domu, przeszedłem różne tarapaty; wykaraskałem się, bo znałem ukraiński jak polski.

Gdzieś w połowie października wróciłem do domu z głową zwieszoną jak zbity pies. Nie pokazywałem się ludziom na oczy. Wreszcie jakoś doszedłem do siebie. Postanowiłem odwiedzić Katię Tarnawską, ale jej już nie zastałem. Powiedziano mi, że wyjechała gdzieś z całą rodziną.

Jestem trochę przesądny, jak wszyscy ludzie z moich stron. Uwierzyłem, że krzyżyk Katii uratował mi życie podczas przymusowego lądowania, nie zdejmowałem go więc z szyi. Matka kiedyś spytała mnie:

– A to, co takiego, ha? Ty wiarę swoją zmienił?

Teraz leżąc na trawie związany jak baran, czując ból na całym ciele, zapomniałem całkiem i o matce, i o tym małym krzyżyku.

Rezuny kłócili się głośno między sobą; zrozu miałem, że chodzi o podział „trofiejów”. Potem zaczęli rozprawiać o mnie, ale już półgłosem. Wiedziałem, że to nie przelewki, próbowałem się modlić, ale ze strachu, obłany zimnym potem, zapomniałem pacierza.

Dolatywały do mnie urwane zdania albo pojedyncze słowa, z których zacząłem układać mój horoskop:

– Bierzemy go?

– A k'czortu!

– Dać jemu sześć gram w zatyłek i niechaj tu ostanie. Lisy się pożywią.

– Szkoda patrona.

– Nu, to zakłuć cholere!

– Packać się w jusze Lacha?

– Nu, to hajda na postronek! – zawołał jeden z rezunów, podrywając się na nogi.

– Ooo! – podtrzymali go inni.

Podeszło do mnie dwóch, rozpętali nogi, żeby łatwiej było doprowadzić do suchej gałęzi. Podtrzymywany pod ręce szedłem jak boso po ściernisku. Nie byłem zdolny do żadnego myślenia, a nawet nie miałem do nich złości. Może trochę byłem głupio ciekawy: „Jak oni to będą robić?”.

Na wybranym miejscu pod klonem, który z jednej strony miał duży, uschły konar, zdjęli mi z nóg niezłe jeszcze trzewiki i zaczęli gadkę:

– He! Ty skąd?

– Ze wsi. Tutejszy.

– Szpiegować przyszedł?

– Urwać trochę wiśni. Bo i tak ptaki objedzą.

– Nu, dajmy na to, że prawdę powiedział – zarechotał jeden z rezunów.

– A u Rydza-Smiłtoho ty służył?

– Z poboru. Jak każdy.

– W jakiej formacji ty służył?

– W lotnictwie.

Zaryczeli śmiechem z dobrego żartu. A jeden, może ich watażka, powiedział:

– Niewysoko ty latałaś, jak chodzisz po ziemi. Nu, u nas polecisz ty wysoko! – i machnął ręką w stronę suchej gałęzi.

Jak mi założyli pętlę na szyję i koniec postronka przerzucili przez gałąź, na mgnienie oka całe życie przegalopowało mi przez głowę: przeżył człowiek, jakby nie było, te dwadzieścia kilka lat, a tu sekunda – i koniec. Jak na taśmie filmowej masz cały przegląd, a potem do ziemi i po wszystkich kłopotach, od których żywego tylko głowa boli.

Jeden z rezunów, z wyglądu w moich latach, ale trochę niższy wzrostem, za to taki sobie przysadzisty, widać fachowiec znający się na rzeczy, zaczął mi poprawiać pod brodą pętlę, żeby się lepiej zaciągnęła. Rozchełstał mi przy tym koszulę; amerykańskie złoto łańcuszka zabłyszczało mu jak prawdziwe. Szarpnął łańcuszkiem i zerwał. Kamraci natychmiast okrążyli go, a on trzymał na dłoni srebrny krzyżyk; przyjrzeni mu się z każdej strony, spoglądali na siebie niezdecydowani.

– Ehe! – zawołał ten, co zerwał mi krzyżyk. – Gotowy już? Ta pociągaj Lacha! A ja jego tu za nogi przytrzymam, żeby równo szedł do nieba, do Matki Boskiej Częstochowskiej!

Ten, co miał podciągać postronek zawieszony na gałęzi, spojrzął na watażkę, a może mi tylko tak się zdawało, ale główny rezun z parabelką na pasie, przewieszoną przez ramię jak u naczelnika, podszedł bliżej i zajrzał mi w oczy:

– Ty prawosławny?

Milczałem.

Szturchnął mnie pod żebro:

– Nu, otwórz mordę i gadaj! Tylko nie próbuj zdurzyć nas! Prawosławny czy katolik?

Nie powiedziałem „tak”, ale i nie zaprzeczyłem. Do tej pory, jak czasem najdzie na mnie czarna chwila – mam wyrzuty sumienia, że wyparłem się swojej wiary i narodowości.

„Wieszateli” zarechotał:

– Ma szczęście, sukinsyn, bo już by dyndał. Nu, po mordzie i tak zastrzyż – uderzył mnie w twarz z jednej strony, potem z drugiej; nie za mocno, ale tak w sam raz. Zadzwońnię w uszach i krew poczułem w gębie.

Puścili mnie wolno, krzyżyk Katii oddali, łańcuszek wzięli, bo pewnie pomyśleli, że to prawdziwe złoto.

A na odchodne herszt pogroził:

– A seli rot zaperty, jak ne chcesz smerti! Ne było tu nyczeho.

Jakoś uniknąłem śmierci, chociaż różnie bywało. Trudno o tym wspominać, bo jedni nie wierzą, inni myślą, że tżę. Czasem czytam wiersze Tarasa Szewczenki, żeby nie zapomnieć języka, którym równie dobrze posługiwałem się jak polskim, a moi starzy w domu mówili i tak, i siak. Co było złe, przetłumaczyłem sobie na dobre, i chwata Bogu, że człowiek nie ma do tego pamięci. Ale pierogów z wiśniami nie mogę zapomnieć! Na samą myśl – a mam na nie oskomę – na sam widok pierogów z wiśniami polanych śmietaną ślina mi się burzy w ustach i bliski jestem torsji.

Po wojnie szukałem Katii Tarnawskiej przez Polski Czerwony Krzyż. Powiedzieli mi, że zgłosiła się jakaś młoda pani, która wypytywała o mnie, podając moje dane personalne. A jak usłyszeli od niej, że byłem w lotnictwie, pocieszyli, że pewnie jeszcze jestem w Anglii i wrócę do kraju, bo już sporo polskich lotników powróciło.

Swego adresu Katia nie zostawiła, a może i zostawiła, tylko że mógł zaginąć, bo w pierwszych latach po wojnie był wielki bałagan w ewidencji ludności. Prawosławny krzyżyk Katii Tarnawskiej trzymam do tej pory w kasetce z pamiątkami rodzinnymi, na jednym łańcuszku z medalikiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który dostałem od mojej chrzestnej matki, Natalii Zaborowskiej, niegdyś ochmistrzyni u księżąt Lubomirskich.

Żyję znowu ustabilizowanym życiem; niby dobrze mi, ale niegdyś było weselej. Napływają czasem słodką falą dawne wspomnienia, wdycham cierpki, oszałamiający zapach kwitnącego chmielu, którego tu nie ma. Bezwiednie zaczynam nucić:

Tecze riczka newełyiczka

z wiszniowoho sadu...

Żona prosi:

– Przestań, na miłość boską! Przecież ty nie masz ani słuchu, ani głosu!

– Tecze riczka newełyiczka...

Fragment powieści *Krasnegóry*, Warszawa 1980.